

NOWY SOLONEC

29 kwietnia, piątek, godz. 4.00 - pobudka, jemy śniadanie i o 5.00 wyprowadzamy z garażu trzy objuczone bagażem dromadery - Africi Twin. Świt jest zimny i mokry, z nieba siąpi deszcz - widać ziemia polska płacze za nami. O godzinie 7.00 zgodnie z planem spotykamy w Krościenku chłopaków z Przeworska: Mazego - Wojtka, Kacyka - Rafała i Plusa - Gucia.



Przemoczeni i raczej pełni obaw zbliżamy się do granicznego szlabanu - co tutaj nas spotka? czy pogranicznicy wygonią nas do kolejki? czy załatwienie z Polakami przyspieszonej odprawy nie doprowadzi do białej gorączki naszych ukraińskich "rewidentów"? Odpowiedź przeszła nasze najśmielsze oczekiwania - potraktowano nas jak VIP-ów otwierając dla nas i tylko dla nas oddzielny pas odpraw.

Formalności graniczne idą tak sprawnie, iż mamy wrażenie że jesteśmy w "ukrytej kamerze" lub uczestniczymy w konkursie polegającym na rozstrzygnięciu zakładu, które służby graniczne potrafią szybciej pozbyć się petenta z pod szlabanu - zaznaczam petenta załatwionego pozytywnie. Na zakończenie odprawy z ust ukraińskiego celnika pada sakramentalne pytanie "kuda wy jedziecie" i kiedy Mazy chcąc być elegancki odpowiada dyplomatycznie, iż docelowo na Rumunie ale po drodze chcemy zobaczyć perłę

południowo-wschodniej Ukrainy - Kamieniec Podolski pan w mundurku w równie dyplomatyczny sposób słowami "a po chuj" określa swój osobisty stosunek do kultury kresowej. Nie zrażeni tym pożegnaniem po kilkunastu minutach cała szóstka wali śmiało dziurawą jak najlepszy szwajcarski ser drogą w kierunku Czerniowiec.



Po drodze krótki postój na śniadanie-kolacje i niewarte uwagi kontrole policyjne. W trakcie jednej z nich odnawiam swoją znajomość z Panem, który w tym samym miejscu, dokładnie rok wcześniej "łapał mnie niczym rugbista piłkę" i wmawiał że przekroczyłem prędkość /czytaj opis Bułgaria 2004/. Krótka rozmowa, opowieści "z krypty" w stylu: ile to moto poleci? Ile u was /czyli u nas/ kosztuje taka maszyna /oczywiście cena w USD/? Gdzie i po co jedziemy? I panowie wykazują się wyrozumiałością puszczając nas "swobodna".

Padający nieustannie deszcz wymusza na nas decyzje o rezygnacji z odwiedzenia Kamieńca Podolskiego czym zapewne ucieszyłby się spotkany na granicy orędownik kultury kresowej. Na kilka kilometrów od przejścia granicznego z Rumunią gdy na moment znika wrodzona czujność "polskiego motonity" przemierzającego wschodnie rubieże Europy dosięga nas nieugięta ręka ukraińskich organów ścigania. Panowie poruszają się pościgową Ładą a z ich min można wyczytać, iż nasze dzielne MO jest przy nich organizacją w stylu "niewidzialna ręka" /młodszym czytelnikom spieszę z wyjaśnieniem, iż taka zbrodnicza formacja istniała kiedyś w naszym kraju a nawet promowana była w Teleranku - oczywiście do momentu jego zdjęcia "z afisza" w dniu 13 grudnia pamiętnego

roku - do taktycznych zadań "niewidzialnej ręki" należało między innymi przynoszenie wody spragnionym, przeprowadzanie maluchów przez jezdnię, ustępowanie miejsc w tramwajach i inne tego typu chwalebne czyny dokonywane pod jedynie słusznym patronatem ZSMP w wydaniu "przedszkolnym"/. Pertraktacje tym razem nie dają rezultatu i musimy wyskoczyć z 25 USD co po rozbiciu na sześciu nie jest kwotą porażającą i nie zmusza nas do rezygnacji z dalszej jazdy. Granica z Rumunią znów wprawia nas w dobry nastrój, odprawa trwa kilkanaście minut a droga na Suave wita nas o nieco lepszym asfaltem i drogowskazami, które na Ukrainie najwyraźniej ktoś ukradł - dzielne ukraińskie MO skoncentrowane na kontrolach takich "przestępców" jak my po prostu nie ma czasu zwracać uwagi na inne "pierdoły". Po kilku kilometrach z drogi E-85 skręcamy na Radauti /droga 17A/ a następnie w miejscowości Marginea na polskie wioski Solce, Kaczyce, Paltinoasa. Nocleg znajdujemy w Domu Polski w Nowym Soloncu. Nie będę tu opisywał gościnności i serdeczności miejscowych - nie tylko pochodzenia polskiego - ale wystarczy powiedzieć, iż gdy dowiedzieli się, że nie zdążyliśmy wymienić pieniędzy i mamy problemy ze zrobieniem zakupów, zaczęli prześcigać się z ofertami "nieoprocentowanych pożyczek", a na koniec w sklepie dano nam na tak zwany "borg".



Wdzięczni losowi i autochtonom o godzinie 20.00 zasiedliśmy do suto zastawionego stołu i popijając pasztet mazowiecki rumuńską wódeczką tudzież winiakiem zainaugurowaliśmy biesiadę. Zaplecze instrumentalno-wokalne zapewnił mieszkający naprzeciwko Domu Polskiego pan Józef, a występy taneczne zespół pod przewodnictwem Sławomira, zwanego na forum "Pindorem".



Obuwie prawdziwego
Motonity

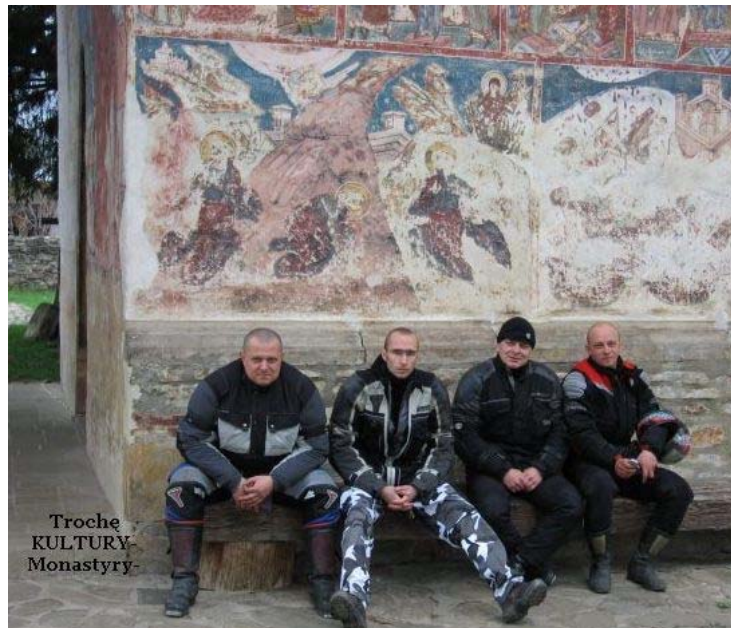
Pokazy kulturalne około godziny 1.00 zakończył syn Józefa, który zorganizował "powrót taty" do miejsca zamieszkania. "The day after" rozpoczął się około godziny 7.30 poranną kawą i bułeczkami z tyrolską i paprykarzem szczecińskim.

Krótką dyskusją i planem na cały dzień opracowanym - lecimy na malowane Monastiry w Humorului i Voronecie, a następnie zaliczamy dwie drogi górskie z przełęczą Tarnita i Stinisoara.



Zjeżdżamy nowiutkim asfaltem - ponoć droga z Nowego Solonca jak i główna trasa na Kaczyce i Paltinoase zostały wyremontowane w ostatnich dwóch latach po wizycie "wuja Kwacha" - do drogi E-576 i walimy na Gure Humorului gdzie wymieniamy kasę a

następnie skręcamy na Manastirea Humorului. Klasztor i Monastyr robią wrażenie - obsługujące turystów Siostrzyczki Zakonne mówią płynną angielszczyzną a Michał zwany MIO służy nam bezpośrednim tłumaczeniem. Voronet jest nieco bardziej komercyjny, masa straganów i handlarzy - dowiadujemy się, iż jadąc na wschód rzeczywiście cofnęliśmy się w czasie i mamy ponownie Sobotę Wielkanocną.





Po części kulturalnej przychodzi czas na przeżycia bardziej ekstremalne. Z drogi E-576 przed miejscowością Frasin skręcamy na Ostrą i przełęcz Tarnita, a następnie odcinkiem drogi 17B przez Brosteni dojeżdżamy do skrzyżowania na przełęcz Stinisoara. Dobry zły początek - tak można podsumować ten fragment trasy. Asfalt najpierw przechodzi w "asfalcik szczałkowy" a następnie w betonówkę - szuterek - błotko - blocko - oraninę - nieużytki rolne - gleby ostatniej kategorii.



Dość powiedzieć, że z jednego odcinka zawróciliśmy, a do miejscowości Valeni Stinisoara od strony południowej nie zdołaliśmy dojechać /na 100% jest to możliwe ale w górach leży jeszcze śnieg i niektóre odcinki były tak rozmokłe że Africi mimo iż kopali ziemię to stały w miejscu - pewnie inne oponki by pomogły ale .../.

W połowie drogi na Ostrą znajduje się opuszczony pokomunistyczny moloch - najprawdopodobniej ogromna cementownia, która nie dość że sprawie przytłaczające wrażenie to jeszcze wałęsające się w jej pobliżu bezpańskie psy dopełniają atmosferę godną filmów grozy.



Późnym popołudniem wracamy do Nowego Solonca, gdzie miejscowe dzieciaki za drobnym wynagrodzeniem w postaci czekolad zadbały już o opał na wieczorne ognisko. Robimy szybko zakupy, rozliczamy się z finansowych zaległości w sklepie i zasiadamy do kolejnej rumuńskiej biesiady.



Ustalamy ambitny plan na następną dzień - zjazd odcinkiem 15C do drogi 15B dalej na przełęcz Bicz /drogą 15 i 12C/ i powrót drogami 12, 15, 17B i E576 do Nowego Solonca. Trasa nie tyle trudna co długa - łącznie około 500km. Ranny wyjazd opóźnia "drobny" remont Africzki Kacyka, który w 45 minut rozbiera połowę motocykla i wymienia membrany w gaźnikach.

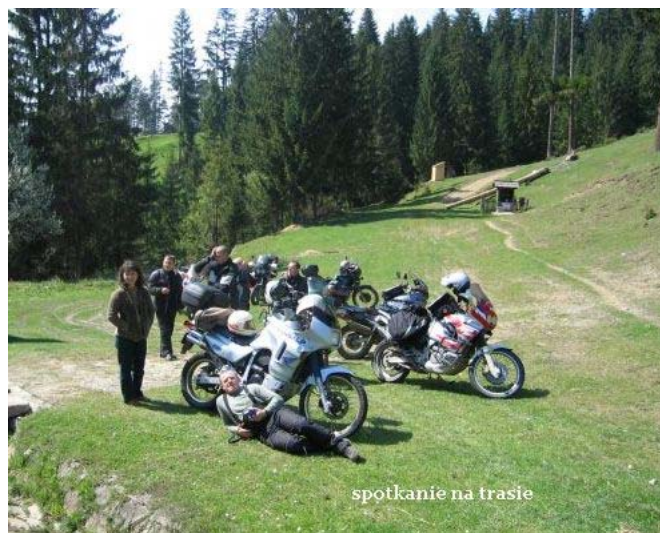
Tempo oraz wprawa z jaką to robi wzbudzają nasze nieklamane uznanie i dopiero wyjaśnienia Mazego, iż jakoby "szanowna Mamusia Kacyka miała ciężki poród bo się dzieciak z motorem rodził" uspokajają naszą naruszoną dumę - złotych rączek, które jak to kolega WC-PC-ecik mówi potrafią nawet dwie metalowe kulki spierd... .



Okolo 9.00 jesteśmy w drodze, lecimy na Tirgu Neamt a następnie w kierunku Jeziora Izvorul Muntelui. Droga ucieka ale żeby szczęścia nie było zbyt wiele koło skrzyżowania na Monastyr Neamt z Transalpa Mazego wypada stworzyć tylnego zacisku. Znowu sprytnie rączki Kacyka oraz pomysłowość Gucia pozwalają nam usunąć awarię w niespełna godzinę. Guciu zwany "Plusem" poświęca śrubokręt z fabrycznego zestawu Yamaha a ja pierwszy i mam nadzieję że ostatni raz w życiu przecinam go piłką do drewna. Powiem wam że sprawa nie jest prosta, momentami miałem wątpliwości czy to śrubokręt tnie piłkę czy piłka śrubokręt, no ale cóż - tylko taki sprzęt udało nam się zdobyć.



Z pewnym opóźnieniem meldujemy się na przełęczy, która robi spore wrażenie. Wierząc w informacje z przewodników jest to najgłębszy kanion Europy, którego ściany miejscami sięgają wysokości 800 m. Przy zjeździe do kanionu spotykamy rumuńskiego enduro-boya z żoną na Transalpie. Pewne zastrzeżenia budzi image kolegi a w zasadzie jego gustowne wdzianko tj. białe adidas, spodenki w kantke i płaszcz a-la "Deszczowa Piosenka" - no cóż widać na Rumunii taki styl jest "trendy".



Koleś jedzie kilkanaście kilometrów z nami a potem odbija na południe. Wjazd do samego kanionu jest istną cepelią, masa straganów, sklepików, parkujących autobusów z turystami /głównie Rumunii, Węgrzy i Niemcy/, gości oferujących fotkę z misiem i małpką - coś jak nasz deptak przy pijalni wód w Krynicy czy Krupówki w Zakopanem.

Mijamy to towarzystwo i walimy w środek "paszczy lwa". Ściany skalne po obu stronach są ogromne, droga miejscami biegnie pod skalnymi nawisami a dodatkowy efekt akustyczny daje wałący wzdłuż drogi potok do którego miejscami wpadają kilkumetrowe wodospady - jest na co popatrzeć. Kilkanaście minut kręcimy się po kanionie, robimy pamiątkowe fotki i zasuwamy w kierunku drogi nr 12 - jest już koło 15.00 a do "domu" jeszcze sporo poza 200 km.

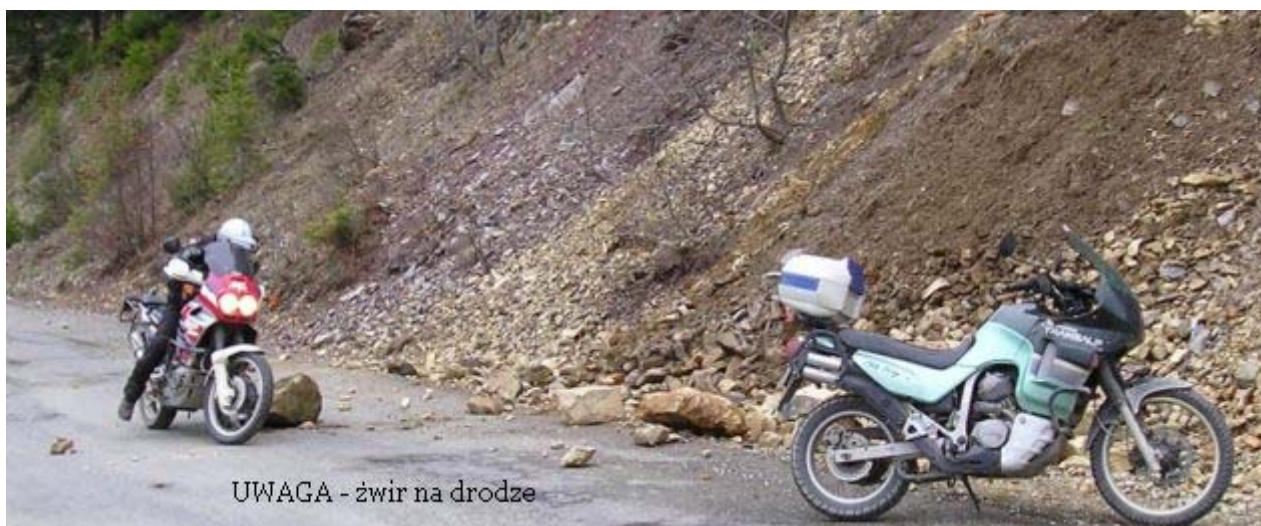






W miejscowości Ditrau postanawiamy skręcić w zaznaczony na mapie skrót z przełęczą Tulghes, który ma łączyć się z drogą nr 15 w wiosce o tej samej nazwie. Skrócik zaczyna się nieźle, droga asfaltowa z dziurami, ale damy radę.

Powiem wam jedno - nigdy ale to nigdy nie wierzcie w mapy Rumunii /z doświadczenia wiem że wydawnictwo ma tu najmniejsze znaczenie - wszystkie kłamią jak telewizja/, droga, która przez kilka kilometrów wydaje się być cywilizowana nagle przechodzi w ekstremalną trasę sześćo-dniówki enduro.



UWAGA - żwir na drodze

Dość powiedzieć, że skrót kosztował nas kolejną godzinę opóźnienia w stosunku do jak to się wydawało sporo dłuższej trasy biegnącej drogami nr 12 i 15. Miejscami błoto i kałuże były głębsze niż niejeden bród i tylko zimna krew i ponadprzeciętne umiejętności MIO - Michała pozwoliły mu na pokonanie tego odcinka Africzką w wydaniu super-moto. Nasze maszynki radziły sobie nieźle ale w jednym miejscu, kiedy to po raz drugi opuściła nas "wrodzona czujność partyzanta" woda jednego z rozlewisk /ciężko coś co ma kilkadziesiąt metrów długości i kilkanaście szerokości nazwać kałużą/ gdy usiłowałem pokonać go centralnie środkiem zamknęła się nad moją głową i tylko siła rozpędu uratowała mnie przed utopieniem motorka.





Po kilku godzinach nierównej walki już na drodze nr 17B łapie nas zmrok. Podejmujemy "jedyną słuszną" decyzję - rezygnujemy z kolejnego skrótów i postanawiamy dojechać jak najszybciej do drogi na E576 w miejscowości Vatra Dornei. Łatwo postanowić ciężiej wykonać, trasa wlecze się niemiłosiernie a noc jest coraz ciemniejsza. Około 20.30 jesteśmy już co prawda w Campulung Moldovenesc ale zmęczenie daje tak po dupie, że momentami mamy "zwydy i miraże".

Do Nowego Solonca docieramy na niespełną godzinę przed północą, zbieramy plomby, które wypadały nam na rumuńskich skrótach /jeden z nich to nawet w mapie Pindora zaznaczony był na żółto i wyglądał niemal jak ekspresówka/ i po krótkim aczkolwiek intensywnym "resecie alkoholowo - piwnym" kładziemy się spać. Poniedziałkowy poranek jest "mocno dynamiczny" - godzina 7.00 pobudka i o 8.00 po rozliczeniu się za noclegi i wypiciu porannej kawy jesteśmy już w trasie.

Plan jest ambitny - mamy w jeden dzień z Nowego Solonca drogą nr E-576 /na niektórych mapach ta droga może być zaznaczona jako stara droga nr 17/ dojechać do drogi nr 18, która biegnie przez najwyższą w tej części Rumunii /a chyba i Europy/ przełęcz Prispol a następnie zjechać do Sighetu Marmatiei i dalej drogą nr 19 przez Sapinte i Satu Mare do granicy z Węgrami w Dorolt.



Na przełęczy jesteśmy jeszcze przed południem. Widoki są wspaniałe, miejscami płaty śniegu na poboczach mają niemal metr grubości, a szczyty otaczające przełęcz są zupełnie białe. Droga prowadząca w górę na sam szczyt Prispol, a potem zjazd w dół do Borsy jest zakręcony jak "baranie rogi" lub jak ktoś woli jak "domek ślimaka".

Serpentyny dają ostro popalić tym bardziej, iż stan nawierzchni jest fatalny a miejscami jest po prostu mokro i ślisko.





Obserwacje jakie poczyniła nasza "ekspedycja karna" w Rumunii doprowadziły nas do niezwykłego wniosku - niby środek Europy, nie Korona Brytyjska, a ruch wcale nie jest prawostronny i co ciekawe nie jest też lewostronny - on po prostu jest mieszany tzn. prowadzony jest aktualnie tym pasem, którego nawierzchnia jest w lepszym stanie.





Skutek tego jest taki, iż nagle za zakrętem można nadzieć się na jadący z przeciwka samochód - często ciężarowy prujący górskie szlaki w tumanie kurzu -, który absolutnie nie ma zamiaru ustąpić miejsca. Ta obserwacja przywołała u mnie pewne wspomnienie - kiedyś, kiedyś, kiedyś jak dzieci w piątkowe popołudnie odwiedzał "Pies Pankracy", krążyła po Naszym pięknym kraju pewna anegdota.

Otóż wezwany swego czasu przez pierwszego sekretarza /odpowiednik króla czy cesarza/ minister transportu na pytanie w jaki sposób można by jeszcze przez świętem 1-go Maja dorównać Anglikom choćby w transporcie i przemyśle motoryzacyjnym, odpowiedział, że

nie widzi przeszkód /coś jak ślepy koń w Wielkiej Pardubickiej/ i po prostu zacznie ich doganiać poprzez wprowadzenie zmiany organizacji ruchu z lewego na prawostronny. Co ciekawe zaproponował on zgodnie z doktryną gospodarki planowej daleko idące rozwiązanie systemowe polegające na wprowadzaniu owej zmiany systematycznie tzn. od pierwszego kwietnia zmiana dotyczyć miała tylko ciężarówek, a od 15 kwietnia wszystkich pozostałych pojazdów - całe szczęście że ów Minister się pochorował i zmian nie wprowadził, bo od 1 do 15 kwietnia faktycznie prześcignęlibyśmy w dziedzinie rozwiązań komunikacyjnych nie tylko Wielką Brytanię ale i cały świat. No dobra anegdota-anedgota, ale nie ma że boli - po dziesięciu godzinach jazdy meldujemy się na granicy Węgierskiej. Odprawa w pełni profesjonalna - trwa kilka minut a nas nawet nikt nie prosi o ściągnięcie kasków - po prostu "Europa".

Znowu powoli łapie nas zmrok ale tym razem jesteśmy już na Węgrzech a tu drogi nie zapewniają niespodzianek i zaryzykuję nawet stwierdzenie, że ich stan jest po prostu "nudny" - nic tylko równiutki asfalt, idealnie wymalowane linie i prawie prawidłowe oznakowanie /to ostatnie może i jest dobre ale ten ich język nie ma nic wspólnego z cywilizowanymi sposobami komunikacji werbalnej/. Około 21.00 znajdujemy miejsce na nocleg w hotelu Tara obok kompleksu basenów termalnych w pobliżu Nyiregyhazy.





Pozytywny stres spowodowany całodzienną jazdą zostaje rozładowany przy kolacji zakrapianej piwem i węgierską wódką, której smak pozostawia jednak sporo do życzenia /może i Madziary umią wino robić, ale prawdziwą wódkę to tylko prawdziwi twardziele z północy i wschodu pędzą/.

Noc w hotelowym wyrku daje wytchnienie i z samego rana sypimy w kierunku Polski.



Po drodze zatrzymujemy się w Tokaju, ale jest wczesnie rano i większość winiarni jest jeszcze zamknięta, co nie bardzo nas smuci, tym bardziej iż jako zmotoryzowani i tak musielibyśmy obejść się smakiem. Węgry, Słowacja, granica w Barwinku i polski etap "wycieczki" nie warte są wspomnienia - "nuda Panie nic tylko nuda".



PODSUMOWANIE:

Wyjazd więcej niż udany. Problemów - zero /nie licząc drobnego datku na rzecz ratowania misia brunatnego w Karpatach czyli ukraińskich organów ścigania/. Rumunia jest jednym z najwspanialszych miejsc pod enduro w tej części Europy - niezapomniane widoki, doskonale pod tego typu motory drogi bez "szlabanów do lasu", naprawdę wspaniali i serdeczni ludzie, stosunkowo niskie ceny /rozczarowała nas jedynie cena paliwa - około 33.000 Lei co przy bardzo niskim kursie USD i EU daje wynik niemal identyczny jak w Polsce/. Całkowity koszt wyjazdu pomimo wzrostu ceny paliwa zmieścił się jednak w planowanej kwocie 700 zł. Na koniec zaistniał jednak pewien zgrzyt - nie bardzo wiem jak Wam to powiedzieć ale nie jedźcie do Rumunii - błagam Was - tam jest po prostu OKROPNIE !!!.



Doszliśmy do wniosku, że jak polecimy wszystkim wyjazd w tamte strony to przestanie być to kraina gdzie można jeździć niemal wszędzie, rozbijać namioty na dziko, znaleźć nocleg w Domu Polskim w Nowym Soloncu, Kaczycy czy Paltinoasa za 4 USD /słownie cztery dolary amerykańskie/, zjeść niezły obiad w przyzwoitej knajpie za 5-10 USD, spotkać nieraz biednych ale zawsze życzliwych i radosnych ludzi a przy tym wszystkim wrócić i udawać prawdziwego endurowego macho. O nas czyli uczestnikach wyjazdu nie będę pisał - chwalić się jest ponoć rzeczą ludzką ale mało elegancką - dość powiedzieć że w tym samym składzie będąc jeszcze na Rumunii planowaliśmy kolejne wyjazdy - ktoś coś nawet przebąkuje o Maroku, a to by było już naprawdę COŚ !!!